

Gołębiowski, Stefan

Stworzenie, "Życie Literackie" 1969, nr 24, 15 VI 1969 : [przedruk]

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 29-38

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W oplakanyim stanie dojechaliśmy do Żuromina, już bez przeszkód. Kasztan w pojedynkę zrobił swoje. W Wielką Sobotę taki wyprawił nam dyngus, że w lany poniedziałek zostawiono nas w spokoju.

Po tym Kasztanie były już u nas same gniade konie z rodowodem Gniadej. Nawet nie miałem sposobności z nim się pożegnać. Chociaż nas tak fatalnie potraktował, były jednak w nim zadatki na konia poezji.

STWORZENIE

„Życie Literackie”, 1969, nr 24, 15 VI 1969

1

Stworzenia świata nie było. Jak pamięcią sięgam, już istniało nad głową niebo i świeciły ciała niebieskie. Od nich zależał i zależy dzień i noc, które wzajem sobie czas kradną.

Pierwsze z ognistego krzaku wychodziło słońce, oblicze Boga. To samo i różne jak cztery pory roku. Wiosną więcej liczyły się rozkwitłe wschody, jesienią gasnące w barwach zachody. Zima chwytała za uszy i szczypała w twarz, bez względu na rąk protesty i nóg tupanie. Lato natomiast dawało się we znaki w inny sposób. Skóra z białej przechodziła w ciemną i mówiono o mnie Murzynek, jakbym zmienił rasę, bez prześladowania rasowego.

Niebo nie lubi być długo pogodne. O tym świadczą chmury na wysokim czole. Pierzaste urozmaicają monotonię wiszącego krajobrazu, kłębiaste tworzą wyspy i archipelagi lotne. Rosną zwałami i już się na czole nie mieszczą. Bóg krzaczaste brwi sroży, bo nie widzi, co się na ziemi wyprawia. Błyska w oknach, trzaska drzwiami. Z hurkotem jeździ tam i na powrót. Wielki płacz bryzga. Jeszcze pół biedy, jak tęcza wyjrzy na znak zgody.

W przeciwieństwie do dnia noc na wiele spraw przymyka oczy. Zamiast słońca ma księżyc, który najpiękniej wygląda w pełni, do pła-skiego miedzianego talerza podobny. Okruchy, przeznaczone dla niebieskich ptaków, nie mogą się na nim utrzymać i dlatego jest ich tyle na niebie.

Jak w niebie, tak i na ziemi wszystko już miało porządek ustalony. Suche miejsca i wody, piaski i bagna.

Z oparów po roztopach wylaniał się świat zielony, strojny w kaczence i niezapominajki. Od nich zaczynał się sezon barw i zapachów. Ogrody kwitły na zabój, łąki na kwaśno, pola na głodno. Drzewom też nic nie brakowało, ponieważ miały zielono w głowie.

Ptaki wracały z raju zwanego wyrajem. Bocian do koła, skowronki zawieszane na nitce śpiewu, jaskółki pod okap. Brać wielce uzdolniona. Kukułka uczy bawić się w chowanego, dzięcioł pukać do drzwi i uciekać, zofija gwizdać. W sztuce tej doszedłem do takiej perfekcji, że śmiało mógłbym konkurować z wygwizdowem.

Z ptaków, jak mawiała matka, najwięcej do powiedzenia ma słowik, bo rodowód swój wywodzi od słowa. Śpiewa najpiękniej i sam sobie klaszcze. Słowika jednak mało kto widzi. Wróble tymczasem wszędzie się panoszą, choć poza zwyczajnym ćwierkaniem nie mają nic do powiedzenia. Z ptaków najbardziej kasandryczne są kruki i wrony, zwane gapami. Ludzie na nie się gapią i nie chcą słyszeć o zagrożeniu nieba. Tak ufają gołębiom pokoju i ich gałązce oliwnej.

Gołębie przynajmniej zachowały wolnościowe przywileje. Tego nie można powiedzieć o innym domowym ptactwie. Kury pod przewodnictwem piejaków, kaczki siodłate, gęsi długoszyje, indory w koralach wśród dobrobytu i lenistwa tak obrosły w ciało i tłuszcz, że już skrzydła mają nie na miarę ciężaru. Stąd widać, że dobre warunki materialne lotności nie sprzyjają.

Ze zwierząt najpierw pojawił się koń, pierwszy obieżyświat ujęty w cugle, potem krowy z mlekiem od prostowania rachitycznych nóg, wreszcie świnie, tuczniki dochodów. Z baranem miałem do czynienia przez słabo rozwinięte zdolności, a z kozami głównie przez dziewczynki.

Kot, chociaż fałszywy, nie pozwolił, żeby nas zjadły myszy i szczury. Pies stał na straży bezpieczeństwa domowego i najwięcej zdobył sympatii za swe zalety towarzyskie.

Poza użytecznymi nie brak też stworzeń dokuczliwych i paskudnych, jak ropucha. Jednak rzecz zastanawiająca. Każda żaba oślizła, brzydka, budzi wstręt, a jak się zejda w dorzecznym chórze, paskudztwo ginie i zaczyna się bezprzykładne koncertowe granie.

Słychać je było nade wszystko w raju. Raj miejscowy znajdował się pomiędzy bożnicą i remizą strażacką. To był zasadniczo raj śmieci nie pierwszych lepszych, ważnych, bo na nich odbywały się żydowskie śluby.

Tam po raz pierwszy ujrzałem Adama. Był nagi i obrośnięty, bez listka, żeby ukryć węża. Ktoś podał mu liść łopianu, ale zamiast przyślonić miejsce wstydlive, jedynie powiewem, jakby to był wachlarz Ewy, swoją nieprzyzwoitą nagość muskał.

Jednakże zgorzenie nie trwało długo. Pobyt Adama w raju, jak każdy tego rodzaju pobyt, nie należał do szczęśliwych. Za przekroczenie obowiązujących przepisów z polecenia władzy kompetentnej został potraktowany w sposób pożałowania godny.

Ni stąd, ni zowąd pojawił się w białej rubaszce wystaniec wiernopoddańczy Michał, odtąd nazwany Archaniołem. Ten, zamiast miecza, szaszką tak zaczął wymachiwać, że sromotny Adam z konieczności znalazł się w odwrocie. W głąb raju cofając się, myślał, że w ten sposób uniknie wypędzenia.

Niestety, Michał krok za krokiem posuwał się naprzód i coraz bardziej nacierał nie tylko blaskiem ostrza, ale i tubalnym głosem urzędowym.

— A kudy Jewa? Ja тебе дам pater noster.

— Z małpami, ścierwo, obłapiać się zaczęła i sam ją bez pomocy boskiej z raju przegoniłem — mamrotał na własne usprawiedliwienie.

Drzewa i krzaki przerażone gdzieś przez połamane płoty pouciewały i Adam nigdzie nie mógł znaleźć ukrycia. Zresztą raj był niewielki i miał z tyłu drugie wyjście. Wygnaniec Ewy za karę nie poszedł na przymusowe zesłanie, lecz do turmy.

Na nic nie przydały się protesty najmłodszych potomków. Kiedy przebrali miarę, Archanioł, który sam był trąbą, zamiast trąbić, zagwizdał. Nie warowało minuty, a już jak na skrzydłach zleciały się anioły z piekła rodem i zrobiły z nami porządek.

Za wtargnięcie do raju ten i ów dostał nahajką. Każdy, kto w Boga wierzył, tak drałował, że nogi gubił po drodze. Całe szczęście, że się nazajutrz na właściwym miejscu znalazły.

2

Abla na własne oczy nie widziałem. Mieszkał za daleko. Na Poświętym, gdzie podobno zginął. Kaina z Kościelnej za to dobrze pamiętam. Wypadł z chałupy z maczugą podobną do kłonicy w garści i gnał za chwatką babą, która wrzeszczała, jakby ją kto ze skóry obdzierał.

— Ty kacie zatracony, ty Kainie. Ludzie, ratujta.

Nie wiem, o co im poszło. Podobno z Ablem romansowała. Ludzie wzięli ich tak na języki, że wieść o dwóch braciach zginęła, jakby w drugie dno za Zębówki wpadła.

Ksiądz się rozsierdził i z kazalnicy pomstował na Sodomę i Gomorę. Bóg nie był głuchy i z nieba spadł deszcz ognisty.

Przyszła siarczysta noc gniewu Pańskiego. Słupy ognia buchały w niebo przepasane chustą luny. Dzwony co siły dzwoniły. Lament, krzyk walił wszystkimi ulicami.

Trzymałem się fartucha matki tak mocno, aż się urwał. Nie zauważyła tego, bo deszcz ognisty już na skrzydłach wiatru leciał w naszą stronę. Niebezpieczeństwo wisiało na włosku.

Stary dom już gotował się na całopalenie, ale ojciec stanął na wysokości zadania. Dach mokrymi szmatami tak wysmagał, że ogień przepłoszył. Pofrunął w stronę rzeki, gdzie się utopił. Ojciec i matka płakali. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że z radości.

Dymiące zgliszcza Sodomy i Gomory po ognistym zalały deszcze jesienne, a wiatry trąbiły jak na sąd ostateczny. Pół biedy, że zima stała na przeszkodzie.

Spadły takie śniegi, że wszelki ślad kary bożej zginął. Ogień w kotlinie zaczął wesoło trzaskać i z komina rosnąć dymem prosto w niebo. Matka wypędzała do pacierza, ale ja miałem co innego w głowie.

Jak na zawołanie mróz zelzał i wytknąłem nos poza próg domu. Nie wiedziałem, że już inni wybiegli wcześniej przede mną i toczyli wielgaśne kule. Pospieszyłem ku pomocy i wspólnym wysiłkiem stanął pierwszy bałwan, a po nim coraz mniejsze aż do małych bałwanków.

Starsi ze śmiechem burzyli je, a myśmy je wciąż na nowo stawiali. Wreszcie Bóg miał już tego bałwochwaltwa za dużo. Słonecznym tchnieniem dmuchnął i wszystkie bałwany znikły.

Za karę przyszedł potop. Wody zalały łąki i pola. Rzeka zginęła i powstało morze. Do tego pogoda popsuta się i spadły ulewne deszcze. Okna rzewnie płakały przez siedem dni i nocy. A kiedy przestało padać i szyby błękit oszklił, świat jakby drugi raz się narodził.

Jeszcze po wyjściu z domu trzeba było brodzić w wodzie, jeszcze rzeki nie było widać, jeno morze, ale już arka, remiza strażacka, jedynym bokiem stała przy brzegu, jedynie wielkim błotem od bożnicy oddzielona. Z tego powodu do raju trudno było się dostać.

Nie jeden, lecz całe stado gołębi krążyło nad arką. Pokój zwiastowały.

Czasy biblijne należą do bardzo dalekich i niejeden rys w pamięci się zatarł. Z tej racji niewiele mogę powiedzieć o Abrahamie, który prowadził życie koczownicze i wiecznie podróżował.

Postać jego przysłoniła broda. Najpierw ruda jak jesień, a potem biała jak zima. Jako człowiek starej daty nie znał innych pór roku. Brodą przykrywał lato swoich synów i wiosnę swoich wnuków.

Trzeba nieraz całego życia, żeby ocalić brodę, a nieraz jeden czyn może dać większe świadectwo prawdzie niż cały żywot ludzki. Jakub tego najlepszym dowodem.

To nie był sen, lecz jawa. Na składanej pnącej się pod niebo drabinie strażackiej, na samym jej szczycie w złocistym kasku stał Najwyższy z wężem w dłoniach dławionym. To górowanie zirytowało zwłaszcza biednego Jakuba. Chwytał drabinę z dołu i zaczął ciągnąć w bok, żeby ją przewrócić. Jednak anioły, w białych mundurach, z zuchwalcem zaczęły się mocować i cudem drabina niebieska utrzymała się w miejscu.

Jakub za swój grzech musiał odpokutować. Pan z wysokości począł na niego tak sikać, że już się nie potrzebował kąpać w Jordanie. Wywijał rękoma, tańczył i skakał. Przy tym trząsał się tak bardzo, jakby z siebie grzechy żydowskie wytrząsał.

Postaci biblijnych było niemało, lecz żadna z nich nie mogła dorównać Józefowi. Tak siłą fizyczną górował nad wszystkimi, a do tego stopnia był mądry, że nikomu krzywdy nie wyrządził.

Józefa, porzuconego przez braci, znaleziono w lesie, gdzie go jednak zwierzęta nie pożarły. Musiał porządną odprawę dostać na pożegnanie, bo później przy składaniu klepek w głowie, piątej, najważniejszej, zabrakło. Za to kosztem władz umysłowych zyskał na siłach cielesnych i wyrósł na sławnego siłacza. Z tego powodu zamiast nazwiska otrzymał przydomek charakterystyczny Samson.

Łamał podkowy, dźwigał głazy okrutne, drzewa z korzeniami wydierał z ziemi, lecz pracować jako nygus nie chciał. Dawał wyborny przykład siły nieużytecznej, stworzonej dla własnej przyjemności i cudzej rozrywki, bałamutnej i ograniczonej.

Był postrachem dziewcząt. Kiedy pojawiał się, umykały bez opamiętania, chociaż żadnej najmniejszej krzywdy nie wyrządził. Gorzej było podczas dni targowych. Gdy która przypadkiem zagapiła się przy

kramach, już nie było żadnej rady. Chwytał dziewczuchę jak piórko i na dłoni podnosił w górę. Naturalnej wielkości żywą laleczkę.

Gratka i frajda nie lada. Tanecznym krokiem obiegał rynek i, balansując w powietrzu dziewczyną, do scen jarmarcznych wprowadzał numer cyrkowy. Zadziwiający popis siły i zręczności. Tłum z uciechy klaskał, a dziewczę fikało trzepotliwie nóżkami, wymachiwało rękami, ze strachu niezdolne głosu wydobyć.

To jeszcze było nic wobec finału. Biedaczkę błyskawicznie wyrzucał w górę tak wysoko, że aż na pomoc pobiegła sukienka, która się podniosła do tryumfalnego łuku kobiecego. Widok niebywały i do tego kłaśniecie jednocześnie we dwie dłonie, z których jakby dwie połowy piłki wyskoczyły naraz. Tupotem w miejscu udawał, że za nimi biegnie.

Za dziewczętami się uganiał, a chłopcy uganiali się za nim. Taki rejwach wokół niego wszczynali, że nie mógł sobie z nimi dać rady nawet Michał Archanioł. Zwłaszcza kiedy pojawiły się proce na gumach.

Tworzyliśmy lekką kawalerię na chlubowych koniach. Wodzem jednak był nie kawalerzysta, lecz procarz, Felek Lekkarobota, którego nazwaliśmy Dawidem. W poszukiwaniu wroga, godnego naszych sił zbrojnych, Samsona przechrzciliśmy na Goliata. Nic nie robił sobie z naszych wybryków i wrzeszczącą hałastrę machnięciem ręki lekceważył.

Źle na tym wyszedł. W pamiętnym starciu, trafiony procowym pociskiem w czoło, nie zginął wprawdzie, lecz co gorsza haniebnie zrejterował z placu boju. Groblą do Zajasek i hen dalej do państwa Filistynów strzeszewskich, gdzie przeprowił się na drugą stronę Jordanu. W ten sposób dzieciom odebrał pole do popisów i zajął się niekoniecznie grubymi rybami, które wiadomo głosu nie mają.

Zaszyty wśród trzciny i tataraków, najczęściej przy blasku księżyca, łowił jazie. Większe trzymały się z daleka, ale mniejsze łase były na przynętę. O tym świadczył spławik. Każde jego zanurzenie powodowało poderwanie i błysk łusek w powietrzu.

Schwytany i odczepiony jaź wpadał w otwór siatki, którą rybołów trzymał w zębach. Stłoczone do niemożliwości i skłębione w roztrzepotaniu świeciły jak żywe srebro wydobyte z rzeki.

Badacze Pisma Świętego pono mówili, że nie ryby, lecz dusze schwyte w zębach trzymał. Może nie bez racji, gdyż rzeka przez te dusze wciągnęła nieboraka w głąb, gdzie już nie mógł zgruntować. Trafił do dna trzeciego połknięty jak ryba przez lewiatana.

Dalsze dzieje Starego Testamentu zatarły się w mojej pamięci. Zawieruszone w zamęcie pierwszej wojny światowej zginęły. Jedyne ze szczątków, bez wykopalisk, zostały zrekonstruowane.

Za sprawą Rodziców zacząłem więcej żyć Nowym Testamentem, który już wcześniej mieszał się ze Starym i stąd jak przy budowie Wieży Babel nastąpiło pomieszanie języków.

Na czym polegało to pomieszanie, jeszcze nie miałem dobrego wyobrażenia. Podobno coś niecoś wiedział o tym nosiwoda Kac, lecz biedak nie mógł nic więcej wykrztusić, jak taj, taj! Zgodnie z tym nie wszystko powiedziałem, co należało po powiedzieć. Przecież taj, taj jako zakaz jest przeciwieństwem nakazu: mów, mów!

Ja sam też miałem wiele trudności z mówieniem, a jeszcze więcej z czytaniem. Nieraz brałem, z braku cierpliwości i z nadmiaru irytacji osób do tego upoważnionych, w łepetynę i w ten sposób doszedłem do poznania pisma nosem. To nazywało się iść po rozum do głowy. Dzięki temu wcześniej zdobyłem niezbyt zaszczytny patent.

Jako patentowany osioł wiele przenieśliem turbacji, zanim wylałem z jęgo skóry i wstąpiłem w baranią. Na szczęście nie na długo. Po porządnym wygarbowaniu różdżką bożą i do mnie światło wiedzy dotarło.

Przy takim stanie rzeczy, jak twierdził jeden z wujów, doskonały w tej materii rzeczoznawca, miałem przed sobą perspektywę albo księdza, albo aptekarza. Po czterech klasach, które ciężko przyjdzie zdobyć, innej kariery nie ma.

O pigularzu nie było mowy. Zostałem predysponowany na księdza, z racji wyżej wymienionych uzdolnień i z woli panującej rodziny, wielce rozgałęzionej i trzeźwej w rachubach na przyszłość.

Wśród stosunków nie tyle patriarchalnych, bo dziadek młodo odumarł, ile matriarchalnych, pod przewodem babki i czterech córek, z gniazdem rodzinnym utrzymywaliśmy żywy kontakt, jeśli nie na codzień, to przynajmniej od wielkiego święta.

Z tych świąt dobrze pamiętam nabożeństwo chederowe. Wuj Brodeś, w czapce wysokiej, karakułowej, w chałacie z prześcieradła, na czele uczniów, małych szajgeców, stawał naprzeciw wielkiego lustra i zatopiony w kiwaniu intonował pierwsze sylaby z elementarza najpierw wolno i poważnie a roj, a roj, potem z podrygiem tydum, tydum

i wreszcie krótko, jakby uciał, sioj, sioj! Nie znalazłem drugiego tak ucieszonego nabożeństwa, oczywiście w cudzysłowie.

Babka na tego rodzaju praktyki odprawiane bez należytej powagi, mimo różnicy wyznania, patrzyła ze zgorzaniem, jakie przystoi osobie wielce pobożnej i co dzień odprawiającej długie praktyki religijne.

Nie zwracaliśmy na to uwagi, chociaż babka należała do gorliwych i przykładnych wyznawców. Na pewno, gdyby obok kościelnych istnieli święci domowi, związani z rodziną, to babce przede wszystkim tę beatyfikację należałoby przyznać za jej żarliwość i zgodne z wiarą postępowanie.

Prowadziła żywot pełen wyrzeczeń i umartwień ascetycznych. Opiekowała się biednymi i nieszczęśliwymi. Opatrywała trędowne liszaje i wrzody ropiejące. Była panią i służką cierpiących i wzgardzonych. Za to należy się jej pamięć wnuka, który niestety nadziei pokładanych nie spełnił.

Swego czasu chciała najmłodszego syna przeznaczyć do stanu duchownego. Jedynek już się do tej roli sposobił. Nawet doszło do tego, że włożył do pustej beczki i niczym z ambony głosił kazanie.

Kiedy jednak ruszył w świat do szkoły, bardziej zasmakował w dobrach doczesnych niż w chwale wiecznej. Przez niego też upadł matriarchat i zaczęły się rządy oświeconego absolutyzmu. Solidnego, wpływowego i apodyktycznego. Za to do dziś żyje jako senior rodu wielce szanowany i w miarę wielkoduszny.

Kiedy na syna już nie można było liczyć, łaskawe oko babki spoczęło na wnuku. Swoimi umysłowymi kwalifikacjami na tamte czasy odpowiadał. Zgodnie z tym wolę babki uznał za powołanie boże.

Do kazań nie miał zdolności i przekonania. Przynajmniej na razie. Bardziej mu odpowiadały ceremonie kościelne. Ubrany w białą koszulę podwiązaną sznurkiem w pasie i w komży z dwóch chustek matki na rogach związanych, z kijem wysokim, u góry zakrzywionym jak pastorał, szedł skromnym kroczeniem na końcu procesji, którą poprzedzały krzyż uczyniony z dwóch nierównych patyków, dwie chorągwie materialne z naklejonymi świętymi obrazkami i dwie latarnie sporządzone z tektury i z bibułki.

Kiedy tak przemaszzerowaliśmy naokoło podwórka, jak kapłan koło kościelnego cmentarza, stanąłem na najwyższym stopniu wiodącym do spichrza, żeby wiernych pobłogosławić. Lecz w tym momencie zasza rzecz nieoczekiwana.

Ni stąd ni zowąd, jak spod ziemi wyrosła matka. Wydarła mi z rąk pastorał, ściągnęła komżę, zadarła koszulę i tęgim klapsem spostonowała moje powołanie kapłańskie.

5

Od tej pory przestałem z matką chodzić na poranną mszę i zacząłem ojcu towarzyszyć na sumę. Jak się później przekonałem, wpadłem z deszczu pod rynnę, lecz już klamka zapadła i odwrotu nie było.

Suma to takie w sumie nabożeństwo, w którym proboszczowi zależy, żeby długo trwało. Widocznie kiedy ma wiernych owczarnię przy sobie, najlepiej czuje się jako duszpasterz.

Podczas nabożeństwa graniu i śpiewaniu, pozał się Boże, nie ma końca. Ksiądz przy ołtarzu śpiewa, organista na chórze gra i śpiewa, a ojciec pośrodku przy wtórce organów na własnym gardłowym organie od czasu do czasu pochrapuje. Cierpliwość przechodzi istne krzyżowe męki, których stacje po obu stronach na ścianach wisiały.

W modlitwach szukałem ratunku i zmiłowania Bożego. Przychodziło ono mniej więcej w połowie nabożeństwa. Śpiewy i granie cichną, a ksiądz po stopniach wchodzi na ambonę.

Po Ewangelii na niedzielę przepisanej zaczyna się kazanie o Bogu nierychliwym, ale sprawiedliwym. Na wierch wylażą grzechy mniejsze i większe, aż do największych, o pomstę wołających. Kościół grzmi sądem ostatecznym i karami wiecznymi. Ludzie padają na kolana i proboszcz zwrócony do ołtarza oręduje za swoimi parafianami grzesznymi. W modlitwie dochodzi do słów: Jako w niebie, tak i na ziemi.

Cały kościół ogarnia nastrój podniosły i naraz w nabożnym skupieniu słyhać surowy głos Jana Wyznawcy.

— Dobrodziej, tak nie jest, bo tam raj, a tu kurwa i złodziej.

Nie doszło do płaczu, do którego kaznodzieja zmierzał. Nauka skończyła się na wesole. Radość wstąpiła w dusze grzeszników wybawionych z mąk czyścicowych i z potępienia wiecznego.

Nic dziwnego, że po tym nabożeństwie Jan Wyznawca znalazł się na ustach wszystkich wiernych. Toteż nie od rzeczy będzie zapoznać się z jego żywotem szczególnym, tym bardziej, że w żadnych żywotach świętych nie występuje.

Pochodził z Myślińca i widocznie za wiele myślał nad losem naszego doczesnego świata, bo mówił językiem apostołskim zrozumiałym jedynie dla ojców kościoła i egzegetów biegłych w Piśmie Świętym.

Swoim wyglądem i zachowaniem nigdy nie budził zgorszenia. Dawał dobry przykład, lecz starsi na to nie zwracali uwagi nawet wtedy, kiedy ich dzieci dawały zły przykład.

Do kościoła uczęszczał zawsze schludnie, czarno ubrany. Na marynarce nosił w formie blaszek imitowane dewocjonalia, które wyglądały jak orderzy kościelne. W rękę, z dystansem szacunku, trzymał książeczkę do nabożeństwa i chociaż była do góry odwrócona, poruszeniem warg wyrażał, że zapamiętał uczestniczy w odprawianych modłach, jak przystało na prawego katolika.

Z powagą zachowywał się nie tylko w kościele, ale i w życiu codziennym. Nie lubił żartować i każdemu potrafił wypalić najgorszą prawdę, jakby rozumu miał nie za mało, lecz za wiele.

Żeby żyć normalnie w trzech porach roku, zimą wiódł żywot utracony w swojej myślińskiej pustelni. Cekał cierpliwie, aż Baruch Mendel nogami bosymi wejdzie na lód i świat rozgrzeje. To się zawsze sprawdzało do pamiętnego września, w którym niebo skowronki potłukło.

Zanim do tego doszło, co rok po ucieczce zimy i opadnięciu wód, Jan Wyznawca stawał na drugim brzegu Jordanu. Zdejmował kaszkiet z głowy, kij pielgrzyma wbijał w piasek i czerwoną chustkę Weroniki wieszał na nim.

Potem twarzą zwrócony ku rzece klękał na jej brzegu, palcami dotykał wody i, jakby była święcona, czynił znak krzyża, żeby dostać łaski oczyszczającej. W tym celu dłońmi odpowiednio złożonymi czerpał wodę z rzeki świętej i myjąc twarz wygłaszał słowa godne pamięci ludzkiej.

— Myję się w tobie, wodo, jak Chrystus, który upadł do Jordanu i rozbił sobie twarz najświętszą, tak, że spłynęła krwią czerwoną. Woda zmieniła się w krew i ja w tej krwi się myję.

Po tej ablucji dlonie i twarz wycierał w chustkę, żeby mieć dowód rzeczowy, że woda była od krwi czerwona.

W czasie ostatniej wojny zginął bez wieści, lecz pamięć o Rzece Czerwonej została do dziś żywa.

Stworzenia świata nie było.